WSPOMNIENIE JANA DZIAŁYŃSKIEGO

PRZEZ

AGATONA GILLERA.

LWÓW.
NAKŁADEM AUTORA.
1880.

WSPOMNIENIE JANA DZIAŁYŃSKIEGO.

WSPOMNIENIE
JANA DZIAŁYŃSKIEGO

PRZEZ

AGATONA GILLERA.

NAKŁADEM AUTORA.

Z drukarni „Gaz. narod." J. Dobrzańskiego i K. Gromana.

1880.

Mądry ofiary kornej podaniem,
Świętą po dziadach spuścizną,
Zna słowo Boże leżące na nim,
Żyje prawdziwą Ojczyzną;

Nie bije o nią czołem nikomu,
Krwi swej na oślep nie leje,
Ani się wkrada do swego domu,
Jak się wkradają złodzieje;

Sprawy swej chytrze w obce nie wszywa,
Ani jej obcemi łata:
Ona mu z jednej sztuki i żywa,
Jak była Chrystusa szata. —

Seweryn Goszczyński.

Tytus hr. Działyński, ojciec Jana, wspaniale odbudował według planu przez siebie nakreślonego rezydencję ojców, zamek w Kórniku. Przed jego frontem, przy kanale w koło zamek opasującym wstęgą wody, umieścił przedsionek sklepiony, nazwany staropolskim wyrazem babiniec, przeznaczył go bowiem na salę dla bab i dziadów, przychodzących po jałmużnę. Mnóstwo też zwykle ubogich dążyło do Kórnika i zasiadało w tym babińcu. Gdy służba doniosła o ich obecności, dziedzic schodził do babińca i rozdawał ubogim jałmużnę.

Gdzieindziej zamykają drzwi i wrota przed ubogimi, wyszczuwają ich psami z dziedzińca lub trzymają godziny i dnie całe pod gołem niebem, na słońcu i mrozie, zanim udzielą liche wsparcie. W Kórniku ułatwiono im przy-

stęp do serc miłosiernych dziedziców, — otworzono naroścież wrota do zamku i w przysionku przygotowano schronienie, w którem ogrzani ciepłem i od wichrów zasłonieni, wygodnie oczekiwali na zstąpienie do nich pana lub pani.

Za przykładem ojca i również dobroczynnej matki, Celiny z Zamojskich Działyńskiej, syn ich czcigodny Jan *) schodził czasami i po kilka razy na dzień do babińca. Tu upośledzonym od losu rozdawał hojne jałmużny i rozmawiał z każdym uprzejmie, zasiadając pomiędzy nimi na ławie. Ubogich hojnie traktował jako gości, nie zaś jako natrętnych żebraków. Dobre słowo podnosiło wartość udzielonego wsparcia, zwłaszcza że była w niem mądra nauka, zdrowa rada a często początek regularnej pomocy i stałej opieki, która kładła kres życiu o żebranym chlebie, do pracy otwierała pole i stwarzała pomyślność wydziedziczonych rodzin.

Gdy z Paryża przybyłem w r. 1870 w odwiedziny do Kórnika, przez trzy dni pobytu mego w gościnnym zamku Jana Działyńskiego, widywałem codzień w godzinach porannych babiniec zapełniony różnym ludem. Przychodzili nie tylko żebracy ale i włościanie z ważnemi sprawami. Tych ostatnich prowadził Jan do swego pokoju i wypytawszy szczegółowo o interes, zaradzał mu według możności skutecznie. To też Jana wielbili wszyscy upośledzeni i ubodzy, lud zaś go kochał całem sercem. Był on dla niego wzorem prawdziwie polskiego pana. W braterskiem dla ludu uczuciu, znalazł sposoby na rozwiązanie wszystkich tru-

*) Urodził się w Kórniku 1829 roku.

dności, jakie z socjalnej nierówności wypływają.

Te narady z włościanami i ten babiniec napełniony ubogimi, stanęły mi w pamięci, gdy wyczytałem żałobną wiadomość o zgonie dziedzica zamku Kórnickiego. Żebrak szedł do babińca. Jan Działyński spotkał go na drodze i wyciągając rękę dla udzielenia jałmużny padł na ziemię tknięty nagle atakiem paralitycznym. Odniesiono go do zamku, zwołano lekarzy, — ani pomoc medyków, ani troskliwe pielęgnowanie sędziwej matki i żony Izabelli, z Czartoryskich, nie mogły mu zachować życia. Umarł 31. marca 1880 roku. Zwłoki jego pochowano w kościele parafialnym w Kórniku obok zwłok Tytusa. Na pogrzebie złamano pierścień, miecz i tarczę z herbem Ogończyk na znak, iż skończył się ród Działyńskich i ostatni z rodu pochowany został.

Piękny to był zgon. Wielki mecenas nauk i literatury; Polak, który dla ojczyzny miał serce i skarb swój zawsze otwarty; opiekun uczącej się młodzieży; dobroczyńca ludu; przyjaciel nieszczęśliwych i prześladowanych; jałmużnik ubogich, człowiek wreszcie wielkoduszny i szlachetny, którego charakteru głównym rysem była ofiarność — zginął jak żołnierz na polu bitwy, w chwili wykonywania aktu miłosierdzia!

Jan Działyński, jak na dobrego Polaka przystało, przykładał rękę do każdego przedsięwzięcia, oswobodzenie Polski mającego na celu. Jeszcze jako uczeń gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu, należał wraz z starszymi kolegami do wielkiej konspiracji Towarzystwa Demokratycznego w r. 1846. Powstanie miało się rozpocząć opanowaniem fortecy poznańskiej. Odkrycie związku i zaatakowanie na moście po-

znańskim wozów i ludzi, wiozących broń z Kórnika, udaremniło zamach na fortecę, w którym wziąć miał także udział młody Działyński.

W r. 1848 po wybuchu wielkopolskiego powstania przeciwko Niemcom, Jan zaciągnął się do obozu narodowego w Książu i służył w szwadronie ułanów, sformowanym kosztem jego ojca. W pamiętnym boju w tem mieście, który porównywano z Termopilami, odznaczył się walecznością i odwagą.

W roku 1863, zaraz po wybuchu powstania w zaborze moskiewskim, Jan nieczekając na rozkaz z góry, wziął się do organizowania pomocy dla braci walczących za kordonem. Rozkaz mu wydało serce, przepełnione miłością dla Polski. Każdy w życiu coś kochać musi. Jan kochał nad wszystko i nad wszystkich ojczyznę. Była to w nim jedynie wielka i namiętna miłość. Ona to kierowała jego życiem i zawsze stawiała go w właściwą porę na stanowisku. Obok Działyńskiego stanęli najpoważniejsi obywatele w Poznańskiem, z liczby których Karol Libelt miał być powołany do Rządu narodowego, w chwili jego ujawnienia.

Praca organizatorska już się dobrze sformowała, gdy Działyński odebrał z Warszawy nominację na prezesa Wydziału Rządu Narodowego w Poznańskiem. W tym charakterze rozwinął nadzwyczajną czynność. Ustanowił w każdym powiecie i mieście władze narodowe, zbierał podatek wojenny, sam najhojniej ze wszystkich panów polskich dając pieniądze na potrzeby powstania; zakupywał broń, gromadził i zbierał ludzi i formował z nich oddziały, które jeden za drugim wyprawiał na plac boju przez granicę szczelnie zamkniętą ze strony pruskiej.

Nie była to łatwa czynność.

Rząd pruski zrazu zdumiały wypadkami, nie wiedział jakie zająć wobec nich stanowisko. Wkrótce jednak ocknęła się w nim tradycyjna nienawiść do Polaków i wolności, i z gorączkową energią począł utrudniać wyprawianie posiłków walczącym powstańcom.

Pewien publicysta niemiecki, używany przez Bismarka do pisania broszur politycznych, w dziele świeżo wydanem *) powiada: „iż rząd pruski z większą gorliwością i przytomnością umysłu tłumił powstanie niż Moskale, którzy stracili zupełnie głowę, i niewiedzieli co czynić. Myślał za nich Bismark, słał im rady i przestrogi, popierał moralnie i materjalnie i konwencją Alvenslebena, w której zobowiązał się do udzielenia im zbrojnej pomocy, dodał ducha i energii. Ze swojej strony stawiał wszelkie możliwe przeszkody rozwinięciu się powstania, zmobilizował trzy korpusy wojska pruskiego, i szczelnie niem obsadził granicę królestwa Kongresowego; policję zaś i żandarmów puścił na połów patrjotów. Szpiegami zapełnił W. księstwo Poznańskie, Szląsk i Prusy zachodnie oraz wschodnie, a oprócz tego kazał wszystkim urzędnikom być szpiegami. Wszelką pomoc w ludziach, w broni, w amunicji i w pieniądzach, przeznaczoną dla powstania, kazał gwałtem powstrzymywać."

Rząd pruski w humanitarności swojej pragnął, ażeby Polaków bezbronnych mogli Moskale wyrznąć bezkarnie, — wszystkie więc jego rozporządzenia dążyły do tego, ażeby przeszkodzić uzbrojeniu się powstania. Pomimo jednak kordonów, patrolów i policji, Polacy działając z tym

*) Berlin und Petersburg. Preussische Beiträge zur Geschichte der russisch-deutschen Beziehungen. Leipzig. Verlag von Duncker et Humblot. 1880.

zapałem roztropnością miarkowanym, jaki zwykł się rodzić z rzeczywistej miłości ojczyzny, przełamali wszelkie przeszkody, omylili wszelkie straże.

Pierwszy oddział, jaki z Poznańskiego wyruszył, był Garczyńskiego. Rozbity pod Mieczownicą i Dobrosołowem, straciwszy wielu ludzi, powrócił przez kordon pruski. Klęska ta niezraziła dzielnych Poznańczyków. Pojedynczo lub małemi oddziałkami przemykali się przez granicę, i łączyli się z oddziałami walczącemi w Kaliskiem, a zwłaszcza z bohaterskim Kazimierzem Mielęckim na Kujawach, który pod Olszową odniósł śmiertelną ranę.

W miarę niepowodzenia rosła ochoczość do niesienia ofiar. Wkrótce potem organizacja na czele której stał Działyński przygotowała nową wyprawę z Poznańskiego. Trzy oddziały dobrze wyćwiczone i w broń zaopatrzone pod dowództwem pułkowników Emanuela Taczanowskiego, Faucheux'go i hr. Jounga de Blanckenheim, przeszły szczęśliwie w różnych punktach granicę i niedoznały żadnej straty prócz zabrania transportu broni w lesie sławoszewskim w powiecie pleszewskim. Powstanie się wzmogło i poczęło mocno niepokoić Moskali. Pułkownik Joung de Blankenheim odniósł świetne zwycięztwo pod Nową Wsią i przepędził cały moskiewski oddział za granicę pruską.

Pomimo faktu, iż w nadgranicznych województwach, powstanie wspomagane przez Wielkopolan, było najsilniejszem, wspomniany wyżej autor niemiecki twierdzi, iż nie mogło się ono rozwinąć i przybrać w tych okolicach znaczniejszych rozmiarów z powodu czujności, z jaką Niemcy pilnowali granicy. Oskarza on Moskali o niewdzięczność, usiłuje zaś dowieść, iż gdyby nie usługi i pomoc Niemców, sami nie zdołaliby pokonać powstania.

Ważne to wyznanie pisarza poufnego Bismarka. Jest ono prawdziwem; tylko fakta, któremi je popiera są w części mylne. Nieprawdą jest, że powstanie w województwach graniczących z Prusami było słabe i krótkotrwałe z powodu straży niemieckiej, — widzieliśmy bowiem, że dzięki organizacji, na czele której stał Działyński i wzorowego patrjotyzmu obywateli poznańskich, powstanie w tych województwach było najgroźniejszem dla Moskali i było ciągle zasilanem przez młodzież wielkopolską. Autor wyliczający żandarmskie zasługi Niemców wobec Moskwy, zapomniał o jednej, która najlepiej popiera przytoczone wyznanie, hańbiące honor niemiecki; — tą zasługą jest przejęcie w ciągu całego powstania takiej ilości broni, iż można nią było uzbroić stutysięczną polską armię. Jeżeli więc Rząd narodowy nie mógł z oddziałów powstańczych utworzyć polskiej armii; jeżeli nie mógł powołać pospolitego ruszenia i wojny partyzanckiej zamienić na wojnę regularną, — zasługa to w rzeczy samej Niemców, za którą Moskale, jak się żali pisarz Bismarka, nie chcą być dzisiaj wdzięcznymi i nie chcą chodzić na jego pasku. Za pomoc udzieloną przeciw Polakom spodziewał się nagrody, którą miało być dobrowolne poddanie się Moskali pod jego wpływy i rządy. Ci ostatni chcą być samodzielnymi, ztąd gniew na stuletniego sprzymierzeńca i powód do wyznania, iż Niemcy nagięli polskie karki w jarzmo moskiewskiej zemsty i nienawiści.

Spełniając rolę carskiego policjanta, zwracali uwagę na czynność Działyńskiego. Oddziały jednak były już wyprawione, gdy rzucili się na rewizję jego pałacu w Poznaniu. Działyńskiego nie zastali w domu, śpieszył bowiem na plac boju, ażeby złożyć Ojczyznie podatek kwi swojej.

Przybył do Pyzdr i tu wstąpił do oddziału pułkownika Edmunda Taczanowskiego jako prosty żołnierz. Nie przyjął ofiarowanego mu stopnia oficerskiego. On, pan z rodu i majątku i dawny wojskowy, chciał dać przykład spełnienia obowiązku na najniższym stopniu wojskowym. Obowiązek ten spełniał z podziwieniem wszystkich. Wytrwałość w trudach obozowych, akuratność w służbie, męztwo i zimna krew w boju, odznaczyły go chwalebnie. Nie był wodzem lecz stał się duszą oddziału; serca towarzyszów tej krótkiej lecz sławnej wyprawy były przy nim. Bystrość z jaką oceniał ruchy przeciwnika, trafność w orjentowaniu się, przytomność wobec niebezpieczeństwa, pozwalały spodziewać się, iż w razie przyswojenia sobie karjery wojskowej, wyrobi się na niepospolitego wodza.

W ośmiogodzinnej bitwie pod Pyzdrami (29. kwietnia 1863) gdy strzelcy zachęcani osobiście przez Taczanowskiego odparli atak Moskali i za szarżującymi ochotnikami ułańskimi dano rozkaz ataku kosynierom, biegli przed kmiotkami wielkopolskimi z podniesionemi kosami: Jan Działyński i Władysław Niegolewski. Moskale nie mogli wytrzymać gwałtownego natarcia i pierzchnęli, — zwycięztwo zostało przy naszych.

Po jednodniowym wypoczynku i naradzie wojennej w Pyzdrach odbytej, oddział Taczanowskiego, który z kadym dniem wzrastał w liczbę ochotników, wymaszerował ku miastu Chocz. Marsz był wielce uciążliwy. Moskale postępowali za powstańcami usiłując ich otoczyć i zniszczyć. Ostrożność jednak naszych i dobre kierowanie się wodza, którego szef sztabu major Strzelecki był zarówno mężnym jak roztropnym, udaremniły ich zamiary.

Po przybyciu do Chocza, dowiedziawszy się o małym oddziale „objezdczyków" we wsi Oleścu, wysłał pułkownik Taczanowski pluton jazdy i pewną liczbę strzelców z rozkazem zniesienia tego oddziału. Obskoczeni objezdczycy, po krótkiej utarczce, w której poległ ich kapitan i kilku żołnierzy, schronili się na terytorjum pruskie. Powstańcy wymaszerowali do miasteczka Rychwała. W drodze nadeszła wiadomość o zajęciu Rychwała przez znaczne siły moskiewskie. Taczanowski zwrócił więc swój oddział bokiem i niespostrzeżony przez nieprzyjaciela zajął pozycję w lesie. Ztąd wysłał dwa plutony jazdy przeciwko kozakom, maszerującym do Konina. Przyszło do starcia we wsi Dąbroszynie, kozacy zostali rozbici, — ułani pochwyciwszy dziewięciu wrócili do obozu.

Napierające coraz większe masy Moskali od Kalisza, zmieniły kierunek pochodu Taczanowskiego; od Rychwała pomaszerował do miasta Koła nad Wartą. W tym trudnym marszu Działyński bynajmniej sobie nie folgował, znosił niedostatek i trudy zarówno z innymi, gdy zaś przyszło (6. maja) do bitwy pod Kołem, był w pierwszym rzędzie pomiędzy strzelcami Kazimierza Unruga, którzy Moskali odparli, drogo okupiwszy zwycięztwo śmiercią swojego nieodżałowanego dowódzcy. Ci, którzy widzieli Działyńskiego, zawsze na czele tam gdzie był największy ogień i największe niebezpieczeństwo, mniemali, iż szuka śmierci i rozmyślnie się naraża. Mniemanie to było mylne. Działyński spełniał tylko obowiązek żołnierza polskiego.

Po serdecznem przyjęciu i ugoszczeniu powstańców przez patrjotycznych mieszkańców Koła, oddział Taczanowskiego, liczący już 1200 ludzi wymaszerował w bory lubstowskie i pod

kolonią Ignacewo stanął obozem, obwarowawszy jego front na prędce sypanemi pomiędzy chatami szańcami. W tej pozycji przyszło dnia 8. maja do bitwy, jednej z największych i najbardziej krwawych, jakie stoczono w powstaniu 1863. Powstańcy bili się jak starzy żołnierze, z niezrównanem bohaterstwem. Lewem skrzydłem dowodził naczelnik oddziału, pułkownik Edmund Taczanowski, prawem Witold Turno, środkiem zaś major Strzelecki. Moskali było 5000 z ośmioma działami.

Bitwa rozpoczęła się od ataku moskiewskiego na prawe nasze skrzydło. Natarcie było gwałtowne, walka zażarta, lecz szczęśliwa, Moskale bowiem zostali przez walecznego Turnę odparci. Jednocześnie rzucili znaczne siły do sforsowania lewego skrzydła i środka. Nasi strzelali z za szańców, domów i sosen, lub bagnetem odpierali szturmy. Po kilkogodzinnym boju Moskale zdołali przełamać lewe skrzydło i odcięli je od reszty małej polskiej armii — poczem całą potęgą swoją ponownie zaatakowali środek i prawe skrzydło. Powstańcy nie ustępowali, acz szeregi ich straszliwie rzedniały. Witold Turno, otwierając drogę strzelcom będącym w rezerwie, rozkazał uderzyć bagnetami na Moskali. Sam atoli śmiertelnie ugodzony w bok kulą karabinową, odniesiony został z placu boju do pobliskiego Lichenia, słynącego cudownym obrazem Matki Boskiej — tu oddał Bogu walecznego ducha. Nieprzyjaciel zapalił domy, kłęby dymu zapełniły plac bitwy, na którym pierś o pierś ścierały się obie walczące strony. Gdy wśród tego boju poległ odważny Strzelecki, powstańcy zostali bez dowódców. Wtedy to Jan Działyński i Władysław Niegolewski, który był już rannym, objęli kierunek bitwy. Dalszy jednak opór był niemożliwy — potrzeba się było cofnąć, co też nastąpiło.

W tej bitwie zginęło około 600 Moskali, lecz takaż prawie liczba Polaków znalazła śmierć chwalebną na polu sławy. Dzikość moskiewska pastwiła się w okropny sposób nad rannymi. Jednych dobijali bagnetami — innych przywiązawszy do drzew sosnowych, podpalali słomą. Nikt bez rany nie dostał się w ręce Moskali. Rozpierzchniętych powstańców zebrał Jan Działyński. Sami się chętnie w około niego gromadzili, widzieli go bowiem wśród gradu kul nieustraszonego i do końca walczącego. Ogólne zaufanie wyniosło go na stanowisko wodza. Uprowadził ich, w porządku się cofając, w bezpieczne miejsca, lecz walczyć z garstką rozbitków było niepodobna. Potrzeba było spoczynku. Wydawszy więc rozkaz stawienia się na nowe wezwanie, pozwolił im rezejść się do domów, w ten tylko bowiem sposób można było ocalić od pościgu i pewnej zguby pozostałą garstkę.

Działyński wrócił w Poznańskie, — lecz nie mógł powrócić jak zamierzał do swoich czynności organizatorskich, — policja bowiem czyhała na niego. Pisałem już o rewizji dokonanej w jego pałacu w Poznaniu. Podczas tej rewizji znaleźli ukryte w komodzie papiery urzędowe Wydziału Rządu narodowego w Poznańskiem, rachunki z wydatków na broń i amunicję i listę podatkową. Papiery te jak i poprzednie doniesienia policyjne posłużyły za pretekst do zaaresztowania stu kilkudziesięciu patrjotów. Rząd pruski w ferworze swoich usług dla Moskali, polecił uwięzionym wytoczyć proces o zbrodnię stanu. Pomimo atoli długiego i skrupulatnego śledztwa, sędziowie nie mogli wynaleźć dowodów zbrodni stanu przeciwko Prusom. Manifest Rządu narodowego w Warszawie wyraźnie wypowiedział, iż powstanie skierowane jest przeciw Moskwie, że ani w zaborze austrjackim ani

w pruskim nie jest ono zamierzonem. Osobne odezwy do mieszkańców dwóch tych zaborów, wzywały o zachowanie pokoju i zalecały jako patrjotyczny obowiązek niesienie pomocy walczącym braciom z Moskalami. W obec tak kategorycznych oświadczeń, rząd pruski znalazł się w wielkim kłopocie co do zamierzonego procesu.

Przytaczany powyżej autor dzieła „Berlin und Petersburg" wymownie opisuje rządowe kłopoty. Powiada on, iż nietylko profesorowie prawa i sędziowie lecz i prokuratorja dała opinię, iż z czynności przeciw Moskwie, nie można wyprowadzić zbrodni stanu przeciwko Prusom. Liberalna opozycja w parlamencie oświadczała się także przeciw procesowi. Rząd atoli pruski nie cofa się nigdy przed względami prawa i sprawiedliwości. O tyle je uznaje i szanuje, o ile służą jego polityce. Jakkolwiek więc rachować się musiał z opozycją własnych poddanych i z opinią europejską, oburzoną jego moskiewskim serwilizmem, — nie cofnął danego rozkazu i polecił naczelnemu prokuratorowi jakiemikolwiek wywodami uzasadnić oskarzenie i dowieść, iż zbrodnia stanu dokonaną została. Usłużenie Moskalom i nowe utwierdzenie z nimi współki antisłowiańskiej, uznał za tak ważne, iż nie wahał się dla niej narazić na kompromitację pruskiej sprawiedliwości i zdemoralizowanie niemieckiego sądownictwa.

Dzisiaj sam Bismark piórem poufnego pisarza zeznaje, iż proces Polaków był kompromitacją, lecz zeznaje dla tego, żeby go módz zapisać na rachunku podanym moskiewskiej wdzięczności do zapłacenia. Długi to rachunek. Figuruje na nim stuletnie prześladowanie naszego narodu i germanizacja jakoby w interesie Moskwy zaprowadzona w Poznańskiem, w Pru-

sach wschodnich i zachodnich oraz na Szląsku. Wielkiemi zaś literami zapisano na nim usługi z roku 1863: ową konwencję Alvenslebena i trzy korpusy pruskie na granicy; intrygi przeciwko dyplomatycznej interwencji mocarstw europejskich na rzecz Polski i wreszcie ów sztucznie wyśrubowany proces.

Rachunek ten musi być zapłaconym, Bismark bowiem usług niemieckich w tępieniu Polaków oddanych Moskwie, nie chce uznać za interes niemiecki. Dolega mu długa zależność Prus od caratu jaka wyniknęła z wspólności rozbiorów, Moskalom więc oburzonym na niego za opuszczenie ich interesów na kongresie berlińskim, pokazuje pretensje, zlepione z polskich łez i polskich nieszczęść, których był sam sprawcą.

Doczekaliśmy się ciekawego momentu rozwijania się następstw współki, która zainaugurowała epokę wzajemnego pożerania się państw i narodów. Nieprzyjaciele nasi poczęli wykrywać tajemnice wzajemne, z których Moskale dowiedzieli się, iż Niemcy dla tego im doradzali zniesienie polskiej autonomii i wytępienie narodu polskiego i dla tego pomagali im w niecnem dziele prześladowania, ażeby módz następnie urościć sobie pretensje do panowania nad samą Moskwą.

Książka półurzędowa Bismarka wyraźnie ten cel wskazuje. Polityka antipolska mocarstw rozbiorowych była więc i jest przygotowaniem do dalszych zaborów. Przez gościńce wyniszczonej naszej ziemi ciągną się gościńce wzajemnych usiłowań do opanowania państw ku naszej zgubie przez wiek cały sprzymierzonych. Panslawistyczny kierunek rządu moskiewskiego zmierza do zniszczenia potęgi i niezależności niemieckiej, — niemieckie pretensje sięgają daleko

na Wschód i Północ. Jedni i drudzy zadawali nam ciosy, ażeby po szczeblach naszych nieszczęść dojść do opanowania wspólnika.

Lecz wracamy do procesu, z powodu którego autor piszący o stosunku Berlina do Petersburga, wypisał tak ciekawe uwagi.

Naczelny prokurator spełnił dany sobie rozkaz. Podzielił obwinionych na trzy kategorje i wszystkich oskarżył o zbrodnię stanu wobec Prus lub udzielanie pomocy do zbrodni stanu. „Hrabia Jan Kanty z Kościelca Działyński, powiada prokurator, i 92 jego towarzyszów są oskarżeni o to, iż w roku 1863 a w części i w r. 1862 przedsiębrali czynności, z których wynikło przedsięwzięcie oderwania od państwa pruskiego ziemi, które r. 1771 należały do Królestwa Polskiego a teraz należą do Królestwa Pruskiego. Właściciel dóbr Antoni Jackowski z Palczyna i 34 jego towarzyszów są oskarżeni o pomaganie obwinionym w kategorji pierwszej, inspektor zaś rolniczy Heinrich i 8 jego towarzyszy o rozszerzanie zbrodniczego przedsięwzięcia."

Proces ten nazwano imieniem Działyńskiego, co w oczach polskich dodaje nowego blasku temu imieniowi.

Już sam tytuł oskarzenia nasuwa myśl o jego bezzasadności. Kunsztowność jego jeszcze silniej uwydatnioną została w motywach. Oburzyły one nawet sędziów, znanych z uległości dla rządu. Czuli oni, iż prawdzie dano policzek. Oskarzenie było oparte w części na wywodach naciąganego rozumowania, w części zaś na faktach pofałszowanych. Doszło do tego, iż zaprzysięgłemu tłómaczowi, radcy sądowemu Atanazemu Jeżewskiemu, polecono tłómaczyć fałszywie odezwy rządu narodowego i listy poprzejmowane. Tłumacz zaprotestował przeciwko tak często

przeciw Polakom praktykowanemu nadużyciu, za co, pod pozorem iż dostał obłąkania, wypędzony został ze służby. Broszura jaką ogłosił o tym procesie w niemieckim języku, wykryła praktyki fałszowania do których użyć chciano jego zaprzysiężonej powagi.

Naczelny prokurator oparł swe oskarzenie na takiem rozumowaniu: „Ponieważ Polska została rozebraną przez trzy sąsiednie mocarstwa, więc wszelka czynność Polaków przeciwko jednemu z nich jest zarazem zbrodnią stanu przeciwko dwom innym mocarstwom.“

Rozumowanie takie nie miało nawet zalety nowego wynalazku. W wielu politycznych procesach Polakom wytoczonych, służyło ono za punkt wyjścia w dowodzeniu winy, nigdy jednak z taką cyniczną zarozumiałością nie było postawione jak w procesie Działyńskiego i jego towarzyszy.

Według więc naczelnego prokuratora państwa pruskiego, nie ulegało żadnej wątpliwości, iż powstanie przeciwko Moskwie było powstaniem przeciwko Prusom. Wszelkie usiłowania odbudowania Polski, chociażby w granicach jednego zaboru, jest według tej prokuratorsko-niemieckiej logiki, posiągnięciem na całość państwa pruskiego.

Takie uzasadnienie zbrodni stanu zostało wniesione przed trybunał państwa (Kammergericht) w Berlinie dnia 27. maja 1864. Polaków więzionych w Moabicie stawiono przed trybunałem.

Nie będę opisywał przebiegu tego procesu, albowiem Działyński w nim nie uczestniczył, — był on na emigracji w Paryżu. Sędziowie, wbrew udowodnionej przez znakomitych obrońców nie-

winności, orzekli, iż zbrodnia stanu popełnioną została i wydali surowe wyroki na patrjotów.

Przeświadczenie jednak o popełnionej niesłuszności było w rządzie berlińskim tak wielkie, iż wyroków nie wykonano. Być może, iż nie poczucie sprawiedliwości lecz obawa ostatecznego skompromitowania się wobec Europy, sympatyzującej z Polakami, była powodem, iż król skazanych i wymęczonych długiem więzieniem obywateli, obdarzył amnestją, — nie troszcząc się o wynagrodzenie strat majątkowych i moralnych cierpień, jakie ponieśli gwoli niesumiennej i przewrotnej polityki berlińskiej.

Jan Działyński był skazany *in contumaciam* na śmierć, majątek zaś jego zasekwestrowano.

Pisałem już, że po bitwie ignacewskiej nie mogąc być czynnym w Poznańskiem, pośpieszył do Paryża. Właściwem to jest każdej wyższej indywidualności, iż umie ona wszędzie stać się pożyteczną dla wielkiej sprawy, której się poświęciła. Nie mogąc powrócić na plac boju dla choroby, na którą chwilowo zapadł, służył powstaniu dalej słowem i pieniędzmi. Zajmował się przytem wyrobem karabinów przez siebie udoskonalonych.

Działyński jeszcze w uniwersytecie berlińskim pilnie pracował nad naukami związek mającemi ze sztuką wojskową. Był na wydziale prawniczym, lecz studjował matematykę, artylerję, balistykę, taktykę i strategię. Gdy więc nadszedł rok przymusowej służby w wojsku pruskiem, był już dokładnie przygotowanym do służby w inżynierji wojskowej. Służył w oddziale pionierów i na manewrach przy rzucaniu mostu pontonowego przez rzekę, odznaczył się więcej od innych.

Na emigracji powrócił do studyj wojskowych

w nadziei, że będzie jeszcze mógł być czynnym na placu boju. Zajmował się szczególniej uzbrojeniem, i przemyśliwał nad udoskonaleniem broni. Rezultatem tej pracy było wynalezienie nowego karabina, który został przez sztab francuski w strzelnicy w Vincennes wypróbowany, i za dobry uznany.

Chciał, żeby z jego wynalazku pożytek miała Polska, i przysposabiał fabrykantów broni, łożąc na wykształcenie tych emigrantów, którzy poświęcić się chcieli wyrobowi broni. Tymczasem upadło powstanie, dla którego okazał się najhojniejszym ofiarodawcą. Hojność tę podnosimy tu jako szczególną a wielką jego zasługę. Dzisiaj, gdy reakcyjne obałamucenie umysłów doszło do takiego stopnia zaciemnienia, iż rozgrzesza marnotrawcę, który skąpi grosza dla ojczyzny; gdy nieużytość i nieczułość egoizmu odbiera publiczne pochwały, a ofiarność dla sprawy polskiej poczytaną bywa za brak trzeźwości umysłu, — gdy wszelki wreszcie wydatek na podźwignienie praw Polski z upadku, nazywanym bywa daremnym, dzisiaj zwłaszcza nie można dość uwielbiać patrjotycznej ofiarności Jana Działyńskiego.

Korespondent z Poznania do *Tygodnika ilustrowanego* pisząc o jego ofiarności, wyraził się: „Uposażony był wieloma najpiękniejszemi dary, brakło mu jedynie zmysłu politycznego (! ?), a ztąd nie zajął w naszej prowincji stanowiska odpowiedniego swemu położeniu. Ulegając przyrodzonej wrażliwości, zbyt może pochopnym był do próżnych i daremnych ofiar (!), co świadczy o szlachetności jego duszy więcej aniżeli o roztropnej trzeźwości sądu."

Ustęp ten zrobił na nas bardzo smutne wrażenie.

Działyński nigdy nie robił daremnych ofiar, zawsze je bowiem niósł dla Polski, dla jej dobra i dla jej sławy! Takie ofiary nie bywają ani próżne ani bezpożyteczne. Jeżeli zaś potrzeby ich i to jeszcze w narodzie biednym, ujarzmionym, nie pojmuje korespondent poznański, świadczyćby to jedynie mogło, iż jemu właśnie nie dostaje owej trzeźwości sądu, której brak zarzuca Działyńskiemu. Co do szlachetności uczuć, z której się zawsze wyradzają zdrowe pojęcia o ofiarności, nie chcemy jej odmawiać korespondentowi, przypuszczamy bowiem, iż dlatego zarzuca dziedzicowi Kórnika pochopność do ofiar próżnych i daremnych, że mu jest niewiadomem, iż Działyński posiadał miarę tego, co jest użytecznem i potrzebnem narodowi, w głębokiej mądrości pokornego a miłującego ducha. Rozum połączony z ciepłem miłościwego serca kierował nim w wyborze celów dla swojej ofiarności, nigdy się też nie mylił i zawsze jego hojność wychodziła na pożytek ojczyźnie.

Muszę także wystąpić przeciwko zdaniu, iż Działyński nie posiadał zmysłu politycznego.

Bóg by dał, ażeby wszyscy posiadali zmysł również wysoko rozwinięty, jak był ten, który kierował czynnościami politycznemi Działyńskiego. Jeżeli korespondentowi zdaje się, że ten tylko jest dobrym politykiem, który chodzić umie manowcami dyplomatycznemi i ścieżkami utylitarystycznemi, — to Działyński nie był politykiem. Nie chodził on nigdy krzywemi drogami, które doprowadzają do uznania za dobre i legalne porządków rzadzenia opartych na gwałcie i bezprawiu. Był on mężem stanu w szlachetnem znaczeniu tego wyrazu. Zasadzie polskiej nie przeniewierzał się nigdy, nie robił ze swoich przekonań ustępstw i zboczeń i posiadał godność oraz ten wielki a dumny spokój,

jaki jest udziałem tych wszystkich, którzy konsekwentnie a loicznie przeprowadzają w swem życiu wielkie, moralne prawdy.

Reprezentował w swem życiu, tak słowem jak działaniem, prawo polskie i budził nawet w przeciwnikach szacunek dla narodu, do którego należał. Pogardzał fałszem i wszelką nieprawością, środki zaś jego działania były zawsze dobre bo moralne i cnotliwe. Kto się zastanawiał nad rozmaitemi sposobami działania w położeniu naszem, narodu wydziedziczonego z bytu politycznego i ujarzmionego, ten przyznać musi, iż drogi proste i prawe cnoty, były zawsze i są najlepszemi i najskuteczniejszemi drogami.

Gdybyśmy nie mieli mężów politycznych takiego wyrobienia intelektualnego i moralnego jak Działyński; takiego hartu i takiej miary jak on, który trzymając historyczną chorągiew narodowej polityki, nie dał się od niej odstraszyć żadną groźbą i terroryzmem, ani też od niej odprowadzić żadną łaską i nadzieją wyniesienia lub koncesji, — nie bylibyśmy już Polakami.

Nieodmawiamy zmysłu politycznego, patryotyzmu i zasług mężom, którzy w danem położeniu działając, uginają się pod jego twardemi warunkami, wchodzą w stosunki, w służbę i w parlamenta obce. Jeżeli pozostali wierni idei Ojczyzny i nigdy nie dali się użyć przeciw własnemu narodowi, są godni uznania i szacunku. Tacy mężowie są także sprawie narodowej pożyteczni a nawet konieczni, — im to bowiem zawdzięczamy znośność niewoli a czasami możność rozwijania w niej narodowej żywotności. Lecz gdybyśmy obok nich nie mieli mężów, co jak Działyński, zapatrzeni w ideał Polski wolnej, są mu stałą a niewzruszoną podporą; co nieprzystępni żadnemu z fałszem porozumieniu,

bez wahania i śmiało spełniają obowiązki narodowe, — zatracilibyśmy w sobie ducha żywiącego i wszystkie czynniki samodzielnego życia.

Żeśmy ducha polskiego pomimo niesłychanych nieszczęść i klęsk ogromnych nie uronili; żeśmy charakteru polskiego pomimo usiłowań gwałtownej lub asymilacyjnej zagłady, nie stracili, — to winniśmy na szczęście dość licznym Polakom i Polkom, którzy podobnie jak Działyński wcieliwszy w siebie słowo dziejów naszych, nigdy się przed wrogiem nie pochylili i prawa przemocy nad sobą nieuznali.

Nie przedstawiajmyż ich jako zmysłu politycznego pozbawionych, — bo gdyby ten zmysł polskiego żywota, który ich wiedzie, wydał się nam głupstwem, nastąpiłoby wyparcie się praw narodowych i nastąpiłby rozkład śmiertelny.

Jednostronność w ocenianiu zasad i sposobów działania zawsze przynosi szkodę. Krzywdę sprawie czyni ten, kto kamieniem potępienia ciska na osoby, co wygładzają i równają kolczyste drogi niewoli, lecz nierównie większą stratę sprawia ten krytyk, który w pogardę i w lekceważenie podaje nieuznających narzuconego prawa niewoli.

Szacunek tym, którzy w mundurze obcym zachowali serce i myśli polskie — lecz cześć należy się mężom nieugiętym. Tamci rozwój życia narodowego ubezpieczają, ci ostatni zachowują w czystości i w obfitości źródło tego życia.

Działyński nie kierował się kombinacjami politycznemi czasowej wartości, ani względami chwilowych korzyści; jemu drogoskazem były odwieczne prawdy i nieśmiertelne prawa człowieka i narodu. System polityki na takim gruncie opartej niezna klęski, bo przegrana jego nawet staje się materjałem do przyszłego zwycięztwa.

Z wrogami był albo w wojnie, albo w zawieszeniu broni — nigdy w przyjaźni. Zwalczał ich atoli po chrześciańsku, bez nienawiści.

Z takiemi wyobrażeniami był on typem nowym i wielce szlachetnym polskiego pana. Tradycja łączyła się w nim z postępem czasu.

Jego pomysły polityczne można było poznać w rozprawach z swoimi rodakami. Tu on nie skąpił swojego wymownego słowa.

Do żadnej partji politycznej nie należał, uważał bowiem, że wszyscy Polacy jak żołnierze podczas wojny, stanowić powinni jeden obóz. Arystokrata z rodu, pomiędzy przodkami swoimi liczył bowiem siedmnastu wojewodów, jedenastu kasztelanów obok wielu innych dygnitarzy rzeczypospolitej, nie był przecież zwolennikiem przywilejów i oligarchicznych rządów. Pretensje arystokracji do rządzenia, znajdowały w nim krytyka, jeżeli nie były oparte na osobistych zasługach i zdolności. Z zasług nawet tak szlachetnego jak Działyńskich rodu, którzy nie wydali z pomiędzy siebie żadnego zdrajcy ani też dwuznacznego charakteru męża stanu, wyciągał nie prawa dla siebie lecz obowiązek pracy i poświęcenia dla ojczyzny.

Tradycja tych obowiązków w jego rodzie pielęgnowana, dawała mu wielką moralną siłę i powagę. Gdy głos zabierał, wiedziano, że przemawia przezeń doświadczenie licznych pokoleń i mądrość, wypróbowana w długiej, wiekowej służbie publicznej.

Głos jego słodki, wdzięczny lecz mocny przekonywał i pociągał. Rzadko się unosił, często cichy, zawsze skromny, gdy się ożywił, wysnuwał z siebie myśli górne a nowe. Gdyby kto był spisał mowy jego, wypowiadane na posiedzeniach towarzystw emigracyjnych w Paryżu, złożyłby wspaniałą wiązankę poglądów

szczytnych, rozumnych na wszystkie potrzeby i stosunki narodu naszego.

Byłem sekretarzem na tych posiedzeniach i prowadziłem protokoły rozpraw, — jeżeli je odnajdą w Paryżu, publiczność znajdzie w nich dowód tego, co powiedziałem o Działyńskiego głębokiej mądrości i wzniosłości oraz trafności jego poglądów. Z tej strony nikt go w kraju nie ocenił dostatecznie, — gdyż dopiero w emigracji czynny i chętny brał udział w rozprawach. Był on często ich duszą i światłem.

Powiedziałem, że do stronnictwa arystokratycznego nie należał, — należy jednak dodać, że nie należał także do stronnictwa „demokracji regestrowej", — jak ją na emigracji nazywano. Doktryneryzm i wyłączność tej urzędowej demokracji, jej nienawiści społeczne i ateizm oraz centralistyczne prądy, psujące równowagę pomiędzy równością a wolnością, — raziły go jak raziły Mickiewicza, Lelewela i wielu innych wielkich duszą mężów. Uznawał jednak demokrację prawdziwą jako historycznie konieczny objaw społeczny, nie odmawiał jej zasług i nie potępiał stronniczo. Wziął on z niej to, co było do wzięcia najlepszego: ideę braterstwa i wiernie ją praktykował.

Przystępny dla każdego, nad nikim się nie wynosił, nikogo nie upakarzał wysokością swojego rodu ani też zaletami rozumu i serca. Był on bratem i najlepszym przyjacielem ludu. Uznając konieczność równości wszystkich stanów wobec prawa, czynił tę równość rzeczywistą w życiu towarzyskiem. Zajęty pracą nad oświeceniem, — w prawdziwej oświacie złączonej z moralnością i narodowością widział sposób wykonania prawa o równości.

Gdy z oświatą tworzą się pojęcia obowiązków względem ojczyzny i ludzkości, nie ulega

wątpliwości, iż jest ona drogą do równości, — zwłaszcza, że towarzyskie zrealizowanie równości może i musi być skutkiem nie samego prawa, lecz czynnego w równej mierze z innemi stanami spełniania obowiązków publicznych.

Był on liberalnym, lecz nie w tem znaczeniu, w jakiem dzisiaj liberalizm w Niemczech, we Francji i w Moskwie pojmują, — lecz liberalnym po polsku, to jest w prawdzie i w rzeczywistości. Równości więc nad wolność nie przekładał, lecz obie te zasady chciał mieć w harmonijnej równowadze. Wolności wyłącznej nie rozumiał, lecz wolność dla wszystkich bez różnicy przekonań, religii i stronnictw.

Już to samo dowodzi, że pojęcia jego tak społeczne jak polityczne dokładnie wyobrażały te zasady, które naród polski w powstaniu 1861—63 tak wysoko wobec świata podniósł i krwią je swoją utwierdziwszy, uczynił fundamentem przyszłej budowy państwa polskiego. Były one ostatnim wyrazem dziejów narodowych i przedstawiały ten postęp, jaki wśród nieszczęść i klęsk rozwijając się z reformy trzeciego maja, doprowadził do zdemokratyzowania polskiego społeczeństwa.

Ta pełność wolności i równości, jakie te zasady niosą dla wszystkich stanów, języków i religii, przekonywa, iż nie mają one charakteru burzącego. Ani usposobienia narodu ani też położenie jego polityczne niedopuściło do rozwinięcia się negatywnej strony demokratyczno-liberalnych zasad.

Przekształcenie społeczne wypadło u nas w epoce naszych nieszczęść. Odłożyć go do czasów pomyślniejszych, gdy nowe europejskie społeczeństwo formowało się na gruncie zasad wielkiej rewolucji francuskiej 1789, było niepodobna; — zwłaszcza, że jednocześnie z tą rewo-

lucją rozpoczęta w Polsce reforma w konstytucji 3. maja, działanie swoje wywierała pomimo upadku niepodległości politycznej. Fakt ten atoli, iż rządy eksterminacyjne, postanowiły wyzyskać propagandę demokratyczną i z reformy społecznej uczyniły narzędzie zagłady, musiał wywołać to następstwo, iż Polacy w interesie własnego utrzymania reformę kierowali w kierunku zachowującym społeczeństwo.

Ta konieczność wywołała związek konserwatyzmu społecznego z postępem społecznym. Gdy więc rządy działały rewolucyjnie, patrjoci występowali z umiarkowaniem, właściwem dodatniemu i budującemu działaniu. Strona nagacyjna, wytwarzająca nienawiść i wyłączność społeczną, została odrzuconą, a idee i zasady, mające odrodzić społeczeństwo, wzięte zostały w całej swojej wszechstronnej pełni. Tym sposobem społeczeństwo zostało uratowane od rozbicia, a naród od zagłady, — reforma się uskutecznia w kierunku, który na długą przyszłość zapewnia prawidłowy rozwój.

Dokonanie takiego dzieła wśród najnieprzyjaźniejszych warunków, jest wielką aczkolwiek nieocenioną całego narodu zasługą. Wśród prądów burzących i grożących całej Europie kataklizmem, w jednej Polsce zostały przechowane pierwiastki ocalenia społecznego, w jednej bowiem tylko Polsce wyrobiło się pojęcie pełnej wolności i sprawiedliwości jako zasady społecznej. Niemiecki liberalizm chce mieć tylko wolność dla Niemców i protestantów, równouprawnienie Słowian uważa za rzecz szkodliwą i niesłuszną; francuska demokracja prawi wiele o wolności i o równości, lecz nie chce wolności przyznać katolikom. Toż samo jest w Moskwie. Nie pojmują tam więc sprawiedliwości, a bez niej nie ma wolności i równości.

Myśli, które tu wypisałem, niejednokrotnie wypowiadał Działyński. Wynikły one z ducha chrześciańskiego, i dążyły do zastosowania prawd ewangelicznych w życiu. Wierzył zaś głęboko, iż Polska odrodzona jako państwo, będzie utworem lepszym od wszystkich politycznych organizacyj, znanych w dziejach powszechnych, iż ona jedna potrafi w swoich prawach pogodzić prawa człowieka z prawami państwa.

O sprawach kościelnych rzadko się mu nadarzała sposobność mówienia na naszych emigracyjnych zebraniach. Z krótkich jednak wzmianek o zachowaniu się ks. Ledóchowskiego po objęciu rządów archidyecezji gnieźnieńskiej i poznańskiej, wyprowadzić można było ten wniosek, że Jan Działyński pielęgnując w sercu uczucia katolickie, odwróciłby się przecież natychmiast od hierarchii kościelnej, gdyby ta wystąpiła przeciwko sprawie narodowej.

Bez obojętności dla religii umiał być tolerantem, a inowiercom nie odmawiał ani praw, ani szacunku, byle tylko stali na gruncie polskim. Posiadam list jego podpisany wyrazami „Polak i katolik", w którym wyraża swoje uwielbienie dla pewnego autora, przeprowadzającego ideę zbratnienia ludności, zamieszkującej na ziemiach polskich, z zachowaniem wolności sumienia dla różnych wyznań, na jakie ludność ta się dzieli.

Lata, które Działyński spędził na emigracji, były latami najwięcej natężonej jego czynności. Wszystko go żywo interesowało, i od żadnej pracy się nie odsuwał.

Piszący te słowa wraz z Karolem Ruprechtem założył podówczas w Paryżu Towarzystwo pomocy naukowej, które tem się różniło od towarzystw krajowych tegoż nazwiska, iż w zakres swojej czynności wzięło nietylko udziela-

nie stypendjów uczącej się młodzieży, lecz i pielęgnowanie nauk i umiejętności i rozszerzanie dobrego bytu pomiędzy Polakami, czyli innemi słowy, celem jego było niesienie pomocy wszelkim staraniom i prawom rozwijającym żywotność narodową w kierunkach istotnych potrzeb ogółu polskiego

Prezesem Towarzystwa obraliśmy Aleksandra Chodźkę. W komitecie zasiadali oprócz założycieli: Seweryn Goszczyński, Ludwik Nabielak, Ksawery Szlenker, Józef Kwiatkowski, Józef Rustejko, ks. Roman Wilczyński.

Prace podjęte przez Towarzystwo i rezultaty otrzymane zwróciły uwagę Działyńskiego. Zapowiedział nam swoją wizytę u Nabielaka. Po przywitaniu zabrał głos i wyraziwszy swoje uznanie dla pracy, jakąśmy prowadzili, mówił dalej:

„Działanie Towarzystwa naukowej pomocy i szeroka jego organizacja, bardzo mi się podoba. Jest ona rozumna i odpowiednia potrzebom narodu. Każdy służy narodowi tem, co mu Pan Bóg dał. Mnie dał dobre chęci i majątek. Chcę niemi służyć Polsce, wspólnie z wami pracując. Bierzcie jedno i drugie, jeżeli uważacie, że pożytecznemi będą dla Towarzystwa."

Skromność i zacność tej przemowy ujęła nas wszystkich. Z wdzięcznością i z rozczuleniem przyjęliśmy wspaniałą ofiarę i podziękowawszy za nią, zaprosiliśmy go na członka komitetu.

Zaraz na pierwszem posiedzeniu obrany wiceprezesem, — później, po złożeniu urzędu przez Chodźkę, został prezesem Towarzystwa, które pod jego kierunkiem zaczęło rozwijać się nadzwyczaj świetnie. Przyniósł on Towarzystwu oprócz dobrych chęci i majątku, światłe przewodnictwo i zdrową a zawsze mądrą radę.

Działyński, który sam siebie tak skromnie oceniał, był człowiekiem gruntownie wykształconym. W domu rodzicielskim odebrał bardzo staranne wychowanie. Mentorem jego był dr. Jan Rymarkiewicz, jeden z najświatlejszych i najznakomitszych pedagogów i autor dzieł wielkiej wartości. W gimnazjum Marji Magdaleny w Poznaniu, które ukończył w r. 1848 z świadectwem dojrzałości, był celującym uczniem. O rozległych studjach w uniwersytecie berlińskim, już pisałem. Następnie jeszcze wiele sam nad sobą pracował i z książką zawsze chętnie przestawał. Literaturę polską a zwłaszcza też historję znał gruntowniej od nie jednego specjalisty. Bibliografia, archeologia, geografia, numizmatyka, estetyka nie były mu obce. Łacinę, grecki i języki nowożytne znał dokładnie obok nauk prawnych, administracyjnych, matematycznych i wojskowych. Nie lubił się popisywać rozległą wiedzą, przy naradach jednak komitetowych T. P. N. ukryć jej nie można było. Trudno było o lepszego przewodnika prac, jakie podjęto w Paryżu.

Komitet ułatwiał nauki uczącej się młodzieży w wyższych naukowych zakładach francuzkich, a wykształconych starał się w kraju umieszczać. Jeżeli emigracja 1864 dostarczyła narodowi wielu uczonych specjalistów, którzy w kraju i zagranicą zajmują zaszczytne stanowiska, — jego w tem jest część zasługi. Stypendystów było 84. W następnych latach liczba ta jeszcze się powiększyła.

Komitet starał się obudzić życie umysłowe w emigracji, i w tym celu urządził wykłady publiczne w języku polskim. Odbywały się one w sali przy ulicy Cadet, i doznawały nadzwyczajnego powodzenia. Szczegółowe i obszerne z nich sprawozdania zamieszczał *Dziennik Poznański*.

Brali w nich udział odznaczający się naukami i zdolnościami ziomkowie, wykładając przedmioty wszystkich zajmujące. Wstęp na salę był bezpłatny. Zamożniejsi tylko przy wejściu do sali rzucali na tacę małe kwoty, obracane na opłatę lokalu. Słuchaczy bywało na niektórych wykładach przeszło tysiąc.

Ażeby zaś otworzyć pole dla wyrobienia się i popisu talentom artystycznym polskim w Paryżu, osobna komisja urządzała w tejże samej sali koncerta. Artystki i artyści nasi grali i śpiewali utwory narodowych kompozytorów, lub deklamowali ustępy z arcydzieł poezji polskiej. Kilku muzyków, dzisiaj rozgłośnej sławy używający, pierwszy raz wystąpili przed publicznością na tych koncertach. Były one zachętą dla talentów, i gromadząc, podobnie jak wykłady, Polaków rozrzuconych w wielkiem mieście, utrzymywały pomiędzy nimi towarzyską łączność. Wstęp kosztował tylko 50 centimów, ubożsi nic nie płacili. Gdy sława tych koncertów rosnąć poczęła, przychodzili na nie i Francuzi.

Malarstwo i rzeźbiarstwo nie zostało także zapomnianem. Członkowie komitetu rekomendacją i funduszami starali się dopomagać kształcącym się w sztukach plastycznych rodakom.

Na czele organizacji stał komitet. Obok niego formowano dla specjalnych celów komisje czyli filialne towarzystwa. We wszystkich brał udział Działyński, niektóre zaś za jego inicjatywą zostały uchwalone.

Z jego inicjatywy zwłaszcza powstała komisja matematyczna, która przybrawszy nazwę „Towarzystwa nauk ścisłych,“ dotąd jest czynną.

Zdawało się, że utworzenie takiego Towarzystwa na emigracji jest rzeczą niepodobną. Gdy jednak w samym Paryżu znalazło się kilkunastu uczonych matematyków i przyrodników,

Działyński ich zgromaedził, zachęcił do pracowania dla Polski, i otworzył możność tej pracy, ofiarując nakład na dzieła, uznane przez Towarzystwo za godne druku. W Polsce, ojczyźnie Kopernika i Śniadeckich, nauki ścisłe w ostatnich czasach wielce podupadły, — piśmiennictwo zaś nasze w tej swojej gałęzi, mogło się tylko dawniej pisanemi dziełami pochlubić. We wszystkich krajach dzieła tego rodzaju nieznajdują pomiędzy księgarzami chętnych nakładców, lecz gdy gdzieindziej rządy lub akademje wydają prace uczonych matematyków i fizyków, potrzeba było u nas utworzyć instytucję, któraby do pisania dzieł takich zachęcała i napisane wydawała.

Działyński utworzył tak wielce potrzebną instytucję, i dzięki jemu, Polska w kierunku nauk ścisłych dobiegła mety, przy której stoją bogate i niepodległe narody. Jeżeli piśmiennictwo matematyczno-fizyczne w ostatnim dziesiątku lat u nas zakwitnęło, jest to wyłączną zasługą rozumu i ofiarności Jana Działyńskiego.

Ile zaś łożył na wydawnictwo dzieł wspomnianych, dość przytoczyć, że wydrukowanie dwóch tomów Folkierskiego o rachunku różniczkowym i całkowym kosztowało 16.000 franków.

Lecz zacny ten mecenas nauk nieograniczał się na wydaniu dzieł uczonych, już napisanych. Wiedział on, że do pracy długiej a mozolnej pisania ksiąg, które z powodu swojej treści na wielki pokup liczyć nie mogą, ochotników nie znajdzie. Ażeby więc zachęcić do pisania, nietylko płacił autorom wysokie honorarja i księgi ich drukował swoim kosztem, lecz jeszcze przez cały czas pisania zapewniał im utrzymanie, płacąc umówione pensje. Uwolnieni od konieczności szukania pracy zarobkowej, — autorowie poświęcali cały swój czas do pisania

dzieł o przedmiotach przez Towarzystwo oznaczonych.

Tym sposobem stanął cały szereg uczonych do pracy i młodzież kształcąca się pozyskała z zakresu wyższej matematyki dzieła w języku polskim poważne i gruntowne, często lepsze od dzieł tejże treści w języku francuskim lub niemieckim.

Również szczęśliwym i kosztownym pomysłem było wydawnictwo „Pamiętnika Towarzystwa Nauk ścisłych“. Wyszło jedenaście wielkich tomów tego pisma, które stało się organem akademickim polskiej ścisłej umiejętności i ma zasługę niezwykłą: przyczynia się do postępu i rozwinięcia wyższego samej w ogóle nauki. Rozprawy pomieszczone w tych jedenastu tomach, są prawdziwą skarbnicą nauki. Wydanie wspaniałe, przewyższa pięknością i poprawnością tego rodzaju zagraniczne czasopisma.

Oprócz „Pamiętnika“ wydał Działyński następujące jeszcze dzieła matematyczne swoim kosztem:

G. H. Niewęgłowskiego, profesora Analizy w szkole wyższej polskiej Montparnasse i egzaminatora w liceum ś. Ludwika w Paryżu:

„Arytmetyka z teorją przybliżeń liczebnych“ (kurs zupełny). Paryż 1866 r.

„Geometrji Część I.“ (Geometrja płaska). Paryż 1868.

„Geometrji Część II. i III.“ (kurs zupełny). Paryż 1868 r.

„Trygonometrja prostolinijna i sferyczna z teorją ilości urojonych i notami“. Paryż 1870 r.

„Kurs mechaniki rozumowej“ Tom I. Statystyka i Dynamika punktu. Paryż 1873. Tom II. Dynamika układów materjalnych, hydrostatyka i hydrodynamika. Paryż 1876 r.

„Algebra“. Paryż 1879.

W. Folkierskiego, profesora mechaniki szkoły wyższej przygotowawczej w Paryżu, a teraz profesora szkoły politechnicznej w Limie: „Zasady rachunku różniczkowego i całkowego z zastosowaniami“ Tom I. Rachunek różniczkowy z dodatkiem Wł. Trzaski: O wyznacznikach. Paryż 1870. Tom II. Rachunek całkowy. Paryż 1873 r.

Władysława Gosiewskiego: „Wykład mechaniki cząsteczkowej (molekularnej). Paryż 1873.

Feliksa Kucharzewskiego i Władysława Klugera: „Wykład hydrauliki wraz z teorją machin wodnych“, poprzedzony wiadomościami wstępnemi z mechaniki analitycznej ciał płynnych. Paryż 1873 r.

Władysława Klugera: „Wykład wytrzymałości materjałów i stałości budowli.“ Paryż 1876 r.

Dr. Teofila Żebrawskiego, członka akademii Krakowskiej: „Bibliografia piśmiennictwa polskiego z działu matematyki, fizyki oraz ich zastosowań. Kraków 1873.

Adolfa Sągajło, profesora matematyki w Paryżu: „Wykład zupełny Algebry“ podług najnowszych odkryć. Tom I. Początki algebry.“ Paryż 1873. Tom II. Teorja wyznaczników i ich przedniejsze zastosowania. Paryż 1874 r.

Tegoż A. Sągajła: „Zasady geometrji analitycznej“. Część pierwsza poprzedzona rysem historycznym początku i rozwoju geometrji analitycznej. Paryż 1877 r.

Władysława Zajączkowskiego, profesora matematyki w szkole politechnicznej lwowskiej: „Wykład nauki o równaniach różniczkowych.“ Paryż 1877.

M. A. Baranieckiego: „Teorja wyznaczników (determinantów), kurs uniwersytecki.“ Paryż 1879.

Ernesta Sągajło: Geometrja wykreślna. Paryż 1880.

Michała Girdwoynia: „Patologia ryb“ czyli krótki rys o chorobach i potworach rybich.“ Paryż 1877 i „Anatomia pszczoły.“ Paryż 1875.

Józefa Rostafińskiego: „Sluzowce“ monografia. Paryż 1874.

Wiele wybornych rozpraw w „Pamiętniku“ umieszczonych wyszło w osobnych odbitkach,— dawniej zaś wydał Działyński dzieło francuskie Norzewskiego Rocha: „Nouvelle théorie des proportions et progressions harmoniques avec ses applications a la géometrie.“ Paris 1852.

Jan Działyński nie tylko prezydował w Towarzystwie nauk ścisłych, lecz brał udział w jego rozprawach.

W innych komisjach czyli wydziałach, które z inicjatywy komitetu T. P. N. powstały i zostawały z nim w autonomicznym stosunku był również czynnym.

Ażeby dać poznać całą organizację i jej plan, wymienię jeszcze i te filialne korporacje, którym burza polityczna rozwinąć się nie pozwoliła.

Do nich należy „Wydział wydawnictwa dzieł ludowych.“ Usiłowaniem Działyńskiego i członków tegoż Wydziału było podnieść literaturę ludową do stopnia należnego jej wydoskonalenia. Jak zaś wysoko pojmowano zadanie tej literatury świadczy drukowana odezwa, w której skreślone zostały zasady jej i zarazem program wydawnictwa. Nikt szlachetniej, lepiej i wznioślej nie pojmował charakteru i przeznaczenia literatury ludowej jak autorowie tej odezwy. Żałować należy, że wypadki wojenne we Francji przerwały prace rozpoczęte, myśl bowiem, którą J, I. Kraszewski wcielić chce w

projektowaną przez siebie „Macierz polską" byłaby już wcześniej zrealizowana w paryzkiem wydawnictwie.

Wydział literacko-naukowy został także przy komitecie T. N. P. sformowany. Do jego grona weszli najpoważniejsi i najzdolniejsi emigracyjni literaci i publicyści. Pomysły i poglądy, które na posiedzeniach rozbierano i uznano jako pożyteczne i na dobie będące, były przez członków Wydziału komunikowane krajowym dziennikom w formie korespondencji, rozpraw, krytyk i opisów. Wyrabiała się tym sposobem jedność opinii w pisarzach mieszkających w Paryżu i powaga, którąby nie pozostała bez znacznego wpływu na kierunek naszego w ogóle piśmiennictwa. Gdyby ta łączność tak szczęśliwie pomiędzy nimi przeprowadzona, utrzymała się przez czas dłuższy, nie byłby zapewno prąd reakcyjny pobudzany i propagowany przez autorów, którzy się jednocześnie zgrupowali w Krakowie, przybrał tak szkodliwych dla polskiego ducha i polskiej sprawy rozmiarów.

Działyński często także zabierał głos w rozprawach literackich; zdanie jego zawsze dobrze uzasadnione, miało przeważny wpływ na przebieg tych rozpraw oraz ich konkluzje.

Na jednem ze swoich posiedzeń wydział uchwalił na wniosek dr. Tadeusza Żulińskiego wydanie Polskiego Plutarcha. Miał on być zbiorem życiorysów osób, które pracowały i poświęcały się dla wielkich idei. Męczennicy narodowi, którzy cierpieli za ojczyznę i wiarę; wojownicy, którzy jak Kościuszko walczyli tylko o byt narodu i prawa człowieka; natchnieni wieszcze, którzy opiewali ideały Polski wolnej i niezależnej; znakomici historycy i uczeni, którzy dziełami swemi popierali prawdę i sprawę polską; publicyści, którzy tej sprawie wiernie służyli;

mężowie stanu, deputowani i urzędnicy odznaczeni pożytecznem dla narodu działaniem; wreszcie nauczyciele, księża, gospodarze i przemysłowcy, którzy w swoich zawodach dzielnie i wytrwale przyczyniali się do podniesienia moralnego lub materjalnego dobrego bytu naszej ludności, — wszyscy jednem słowem, których życie było wcieleniem realizujących się idei odrodzenia i oswobodzenia, mieli w tej wielkiej księdze sławy i nauki polskiej działać jeszcze po śmierci przykładem czynów, walk, prac i cnót swoich. Nie ulega wątpliwości, iż Plutarch polski byłby księgą najpożyteczniejszą, bo teoretyczne przedstawienie nie zjednywa dla idei wielkiej sprawy tylu zwolenników, ileby ich mogło zjednać okazanie tych idei w upersonifikowanym stanie.

Również wielki pożytek obiecywało drugie wydawnictwo tego wydziału: „Kwartalnika naukowego" specjalnie poświęconego krytyce. Krytyka dotąd jest u nas w upadku. O naszych krytykach napisał Antoni Gorecki wyborny epigram:

„Niech jeszcze dobre niebo tem Polskę obdarzy,
By miała mniej krytyków a więcej pisarzy —
Bo z naszem gospodarstwem podobieństwo mają:
Jeszcze drzewa nie wzrosły, a już wycinają."

Szło więc o podniesienie u nas krytyki, — o krytykę twórczą, którąby „drzew wzrastających" nie wycinała; którąby, jak to czynią zwłaszcza nowsi krytycy historyczni, pod pozorem szukania prawdy, narodowej żywotności nie osłabiała, i sprawy narodu ujarzmionego nie pozbawiała tej moralnej siły, jaką mu daje jego historja; szło o skuteczne oddziałanie za pośrednictwem rozumnej, sprawiedliwej krytyki przeciwko tej płytkości pojęć, której obrazem jest

nasza nowsza literatura, i przeciwko temu obałamucającemu pomięszaniu kierunków i poniżeniu zasad, które reakcja po 1864 r. i prąd materjalistyczny u nas wywołały. W tym celu miał wychodzić w Paryżu „Kwartalnik“, pilnie zwracający uwagę na ruch naukowo-literacki, nie pomijający żadnego dzieła, żadnego czasopisma bez sumiennego sprawozdania i krytyki. Zaproszono do współpracownictwa w kraju i zagranicą najlepszych naszych pisarzy, i do każdego przedmiotu wybrano gruntownie z nim obznajomionych uczonych. Uchwalono też zasady i kierunek zdrowej i prawdziwej krytyki.

Fundusz na wydawnictwo *Polskiego Plutarcha* i *Kwartalnika Naukowego* bardzo znaczny wyznaczył Działyński. Honorarja postanowił płacić bardzo wysokie, najniższe 100 franków od arkusza, najwyższe od 200 do 300 franków.

Już wszystkie przygotowania do rozpoczęcia obu tych wydawnictw były poczynione, i redaktor *Kwartalnika* pojechał do kraju dla porozumienia się z zaproszonymi współpracownikami, gdy wybuchła nieszczęsna wojna francusko-niemiecka, i rozproszyła ludzi i poczynione przygotowania.

Jedyną pamiątką prac tego wydziału pozostały protokoły obrad i dzieło Leonarda Rettla: „Cyryl i Metody“ przez wydział przejrzane i za godne druku uznane, a przez Działyńskiego w r. 1871 w Paryżu wydane.

Takiż sam los spotkał Wydział handlu i przemysłu, który po długich naradach w hotelu Lambert, w mieszkaniu Działyńskiepo zorganizowanym został. Weszło do niego kilkunastu Polaków dyrektorów fabryk i warstatów w Paryżu i w jego okolicy, kilku kupców, inżynierów, ekonomików i innych rodaków, uzdolnionych do popierania usiłowań w kraju przedsię-

branych, w celu podniesienia bogactwa narodowego.

Wydział ten miał polskiemu handlowi takie oddawać usługi, jakie zagraniczni konsulowie państw niepodległych oddają swoim kupcom, miał więc informować krajowych producentów o stanie targów zagranicznych, o cenach i popycie zbóż i towarów; miał pośredniczyć w sprzedaży, otwierać nowe drogi zbytu, i angażować francuskie kapitały w przedsiębiorstwach górniczych, fabrycznych we wszystkich częściach Polski, prowadzonych przez polskich specjalistów, rekomendowanych przez Wydział.

Miał się ten Wydział zajmować kształceniem młodzieży, poświęcającej się przemysłowi, rolnictwu i handlowi, — i wykształconym w zawodach produkcyjnych ułatwiać umieszczenie w kraju.

Nie pominął i rzemiosła polskiego. Ażeby podnieść i udoskonalić produkcję rękodzielniczą, zaprojektowaną została organizacja wędrówek polskich czeladników. Majstrowie i fabrykanci w miastach polskich, z którymi Wydział miał wejść w porozumienie, mieli po wyzwoleniu każdego czeladnika, skierować go na drogę wędrówki z góry oznaczonej, na której zwiedzając polskie, niemieckie i francuskie miasta, wstępowałby w każdym z nich do warsztatów zobowiązanych przez wydział do przyjęcia i wydoskonalenia poleconego przez siebie wędrowca. Tym sposobem polski czeladnik pracowałby w najlepszych europejskich warsztatach i fabrykach i w każdym doznawałby opieki wydziału. Wędrówka miała się kończyć na Paryżu, gdzie już wydział porozumiał się z właścicielami słynnych rzemieślniczych, różnych zawodów, zakładów i zobowiązał ich za pewne korzyści do troskliwego kształcenia polskich rzemieślników. Po skoń-

czonej wędrówce mieli wracać do kraju, gdzie w miarę możności wydział miał im przy pomocy krajowych swoich członków ułatwiać zakładanie warsztatów. Że przytem i wykształcenie moralne i naukowo-narodowe nie byłoby zapomniane, mówić nie potrzebuję. W Paryżu w dni świąteczne mieli się schodzić w kasynie polskiem, które organizował nieodżałowany Józef Kwiatkowski i uczęszczać na wykłady polskie.

Zachodzi pytanie, na jakie fundusze mógł liczyć ten wydział i inne, nieodzowne przy tak rozległej organizacji pomocniczej w pracy narodowej? Ofiarność samego Działyńskiego nie mogła przecież wystarczyć na to wszystko? Prawda, że nie mogłaby wystarczyć. Lecz jeżeli złe jest zaraźliwe, to i dobre szybko się rozszerza. Przykład ofiarności Działyńskiego zaczął oddziaływać na bogaczów polskich, którzy w Paryżu posiadają milionowe kapitały. Już kilku z nich przyobiecało swą pomoc pieniężną, i dlatego komitet T. p. n., który był głównym kasjerem tej na wydziały podzielonej organizacji, słusznie mógł spodziewać się, że funduszów mu nie braknie. Nawet z Warszawy zaczęto nadsyłać ofiary, obiecywano zaś czynny finansowy udział w przedsiębiorstwach zainicjowanych z Paryża. Ksawery Szlenker i Józef Kwiatkowski, dwaj zamożni kupcy warszawscy a członkowie komitetu, niemniej ofiarni od Działyńskiego, pomnażali fundusze, również jak i Karol Ruprecht, którego rady umiały zawsze skłonić Ksawerego Branickiego i Leopolda Kronenberga do pożytecznych na sprawę publiczną wydatków, inni też członkowie komitetu niemniej skrzętnie pracowali nad nagromadzeniem środków, tak że można było odważyć się nawet na urządzenie w Paryżu stałych polskich kursów.

Miał to być mały polski lubo bez tej nazwy uniwersytet, powoli, wytrwale, w miarę przybywania kursów, rozszerzany coraz to nowemi katedrami. Profesorowie do wykładów zobowiązani, mieli pobierać stałą pensję po 3.000 franków. Początek już był zrobiony, kursa otworzone zostały tymczasowo w gmachu Szkoły montparnaskiej i z czterech katedr rozlegał się wykład nauk w polskim języku. Do wykładów wyższej matematyki zanominowano: G. H. Niewęgłowskiego, członka komisji egzaminacyjnej w kolegium św. Ludwika w Paryżu; do wykładów mineralogii: dr. Józefa Żulińskiego, adjunkta i klasyfikatora w największym jaki istnieje gabinecie mineralogicznym Szkoły min w Paryżu; do wykładów chemii: Zdzisława Dąbrowskiego, do wykładów zaś fizyki Władysława Gosiewskiego, który samodzielnemi badaniami zwrócił na siebie uwagę uczonych paryskich. Wykłady trwały przez półrocze 1869--70, po wakacjach tego roku miała być otworzona piąta katedra historji literatury polskiej, którą powierzyć miano Edwardowi Siwińskiemu, byłemu profesorowi szkoły głównej w Warszawie.

Nowe katedry miały nosić nazwiska osób, które funduszów dostarczą na pensje wykładającego z niej profesora. Pewność pozyskania tych funduszów pozwalała spodziewać się, że i ta nowa instytucja rozwinie się i utrwali, gdy wojna i upadek Francji położyły kres tak szczęśliwie pomyślanej i umiejętnie prowadzonej czynności.

Po wojnie stosunki zupełnie się odmieniły, wielu pracowników rozprószyło się po świecie, kilku członków komitetu umarło i z rozległej a tak wiele obiecującej organizacji pozostał tylko Komitet naukowej pomocy i Towarzystwo nauk ścisłych, które dotąd istnieją.

W odmienionych stosunkach można było wprawdzie, przy usilnych staraniach, utrzymać wszystkie już w życie wprowadzone wydziały, gdyby nowy skład komitetu posiadał był energię, wytrwałość i ducha inicjatywy, jakim się odznaczał dawny komitet. Nieszczęście też chciało, że i sam Działyński utracił w skutek dwukrotnego sparaliżowania zdrowie a z niem i zdolność do przewodniczenia tak szerokiemu i żywemu organicznemu ruchowi, nie było zaś przy nim nikogo, któryby zastępował go w inicjatywie. Skutkiem tego było ograniczenie czynności do dwóch instytucyj i wydawnictwa, które mógł prowadzić dalej nawet przy osłabionym stanie zdrowia.

Wydawnictwa jego rozwijały się w dwóch kierunkach. Dzieła matematyczne, rozpatrywane przez Towarzystwo nauk ścisłych a przez niego wydawane, już nam są znane. Materjały do historji polskiej i dziejów rozwoju języka polskiego prowadził dalej sam bez pomocy naukowej korporacji.

I w tym kierunku zdziałał bardzo wiele i pozostawił po sobie trwałe pomniki w dziełach znakomitych, które bez jego ofiarności nie byłyby ujrzały światła dziennego.

Bardzo kosztowne wydawnictwo „Akt Tomickiego“ ciągle go zajmowało. Ojciec jego wydał ośm tomów. Opracowanie i przygotowanie do druku tomu dziewiątego powierzył Jan jednemu z naszych uczonych. Tom był już wydrukowany i miał być rozesłany, gdy Działyński spostrzegł w nim kilka pomyłek. Niezmiernie sumienny natychmiast powstrzymał rozsyłkę, egzemplarze wysłane wycofał z obiegu i cały nakład tego tomu zniszczyć polecił. Dbał wielce o powagę firmy Biblioteki kórnickiej, chciał aby jej publikacje były wzorem dokładności i nie

znosił żadnego chociażby mniejszego znaczenia błędu. Nowe opracowanie i przygotowanie do druku tegoż samego tomu dziewiątego poruczył młodemu uczonemu dr. Zygmuntowi Celichowskiemu, swojemu bibliotekarzowi, który wywiązał się gruntownie z poruczonego mu zadania. Skutkiem owej nieszczęsnej pomyłki było opóźnienie wyjścia tomu dziewiątego, który dopiero w 1876 r. w Poznaniu wydrukowany został. Tej też przyczynie należy przypisać opóźnienie tomu dziesiątego „Akt Tomickiego", zawierającego materjały do historji r. 1528.

Oprócz tych ogromnej wagi materjałów, znanych pod nazwą Akt Tomickiego, jako obowiązek sukcesyjny wydał następujące dzieła, przerwane śmiercią ojca swojego: „Collectanea vitam resque gestas Joannis Zamoyscii illustrantia." Poznań 1861 r. i „Źródłopisma do dziejów Unii Korony Polskiej i W. ks. Litewskiego". (Sejm piotrkowski r. 1562 i sejm warszawski z r. 1563 i 1564.) Poznań 1861.

Ogłoszeniem w czterech tomach „Kodeksu dyplomatycznego", obejmującego drukowane i i niedrukowane akta i dokumenta od r. 984, sięgające do r. 1400, nie małą przysługę wyrządził ojczystej historjografii. Kodeks ten został zebrany i ułożony przez Ignacego Zakrzewskiego. Towarzystwo Przyjaciół Nauk w Poznaniu nie mogło się podjąć dla braku funduszów wydania Kodeksu. Czego atoli nie było w możności dokonać liczne grono mężów nauce poświęconych, tego dokonał właściciel biblioteki kórnickiej, zawsze chętnie spieszący z pomocą tam, gdzie tego dobro kraju lub nauki wymagało.

Przedruk dzieł starych, dla badań naukowych niedostępnych z powodu wielkiej rzadkości, zajmował go do końca życia. Ażeby im nadać cechę umiejętną, należało się starać o zupełną ich podobiznę.

Sposoby, jakiemi dotąd otrzymywano facsimile, były kosztowne, i nie zawsze dawały rezultaty zadawalniające. Przemyśliwając nad uzyskaniem najdokładniejszych, poznał J. Działyński w Paryżu starego emigranta A. Pilińskiego, wynalazcę przedruków homograficznych, które oddają w najzupełniejszej podobiznie stare druki i rękopisma. O Pilińskim nic u nas nie wiedziano, aczkolwiek już dawno był zajęty przez Francuzów kopiowaniem dzieł i dokumentów w bibliotece Richelieugo. Działyński wynalazek jego zwrócił na pożytek Polski, i Pilińskiego stale zatrudniał robotami polskich homograficznych przedruków.

Wyboru dzieł, przeznaczonych do przedruku, sam dokonywał z niezwykłą trafnością, wykazującą gruntowną wiedzę bibliograficzną.

Dał nam w przedrukach następujące dzieła: 1) „Ustawy prawa polskiego na potrzebnieysze, krótkie, z łacińskich wybrane, na polski język dla wszelkiego człowieka prostego a prawo wiedzieć potrzebującego, przełożone. J. P. roku pańskiego 1563.“ Przedruk homograficzny wykonany przez A. Pilińskiego. 2) Marcin Kwiatkowski z Rożyc. „Wszysthkiey Lifflandczkiey ziemie, iako przed tym sama w sobie była, krótkie a pożyteczne opisanie.“ Drukowano w Królewcu pruskim przez Jana Daubmanna, roku pańskiego 1567. Przedruk homograficzny. 3) „Laurea sive arbor Tarnoviana 1644.“ Drzewo genealogiczne rodziny Tarnowskich, ze starej ryciny przedruk homograficzny A. Pilińskiego w Paryżu 1872 r. 4) „Słowniczek łacińsko-polski wyrazów prawa magdeburskiego z wieku XV.“ Przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań 1875. 5) „Ortyle magdeburskie.“ Przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego objaśnił dr. Michał Bobrzyń-

ski. Poznań 1876. 6) Mikołaja Reja. „Apocalypsis, to iest dziwna sprawa skrytych taiemnic pańskich, które Janowi świętemu, gdy był wygnan prze wyznanie wiary świętey na wysep kthory zwano Patmos, przez widzenia y przez Anyoły rozlicznie zwiastowane były.“ Roku pańskiego 1565. Przedruk homograficzny wykonany przez A. Pilińskiego. 7) „Marchołt.“ Przedruk homograficzny z egzemplarza profesora J. Przyborowskiego, objaśnił dr. Zygmunt Celichowski. Poznań 1876. 8) „Statut Wiślicki w polskim przekładzie z r. 1460.“ Przedruk homograficzny z kodeksu Kórnickiego, z przedmową dra. Zygmunta Celichowskiego. Poznań 1874 i 34 kart podobizn wykonanych przez A. Pilińskiego. 9) „Prawa polskie Kazimierza Wielkiego i Władysława Jagiełły.“ Przełożone na język polski przez Świętosława z Wocieszyna r. 1449. Przedruk homograficzny z kodeksu Puławskiego, wykonał A. Piliński r. 1877. 10) Jana Tarnowskiego. „Consilium rationis bellicae (w języku polskim, w Tarnowie r. 1558). Przedruk homograficzny z pergaminowego egzemplarza biblioteki księcia Władysława Czartoryskiego.

Wydania wymienione nie przedstawiają jeszcze całkowitego obrazu czynności wydawniczej Jana Działyńskiego. Myśl jego ustawicznie była zajęta ozdabianiem i wzbogacaniem skarbnicy duchowej narodu polskiego. Pomnażał też ciągle złote myśli w niej zawarte, wziąwszy na siebie skromną a tak przecież ważną rolę wydawcy.

Bez wydawców marnieją zdolności, ukrywa się bez pożytku nauka autorów i ginie sama ochota do umysłowej produkcji. Iluż to uczonych i zdolnych pisarzy rzuciło złamane pióro jedynie dlatego, iż nie mogli wydrukować dzieł przez siebie napisanych. Na emigracji szczegól-

niej liczny jest szereg i wielka ilość dzieł rozpoczętych i przerwanych w połowie, z powodu, iż ich autorowie nadaremnie poszukiwali wydawców! Znamy poetę, najwdzięczniejszego ze śpiewaków, który zmuszony jest chować arcydzieła swoje w rękopismach, bo księgarze zajęci wydawaniem popłatnych romansów, nie chcą łożyć pieniędzy na druk słów natchnionych wieszczym duchem. O ich wydanie dobijanoby się gdzieindziej jakby o łaskę, u nas pozwolą poecie umrzeć z głodu, aby po śmierci pomnik mu postawić. Znamy innego pisarza, historyka, piszącego pięknym stylem. Niemogąc za swe dzieło wysokiej wartości zyskać odpowiedniego honorarjum, porzucił literaturę, i aby wyżyć, kopiuje stare akta. Byłaby to bardzo smutna statystyka, gdyby kto mógł zliczyć, ile u nas marnuje się talentów i nauki z powodu nieopłacania się piśmiennej pracy i braku wydawców, statystyka świadcząca o obojętności społeczeństwa dla pracy ducha.

Gdyby polscy autorowie uważali swoje powołanie jako rzemiosło i oglądali się za zapłatą, większość ich musiałaby zaniechać zawód literacki. Szczęściem tak nie jest. Wielu, bardzo wielu miłością Ojczyzny ożywionych pracuje nawet w niedostatku, bez nadziei wynagrodzenia, byle tylko twórcza samodzielność narodu a z nią jego żywotność nie osłabła. W takiem atoli położeniu mogą oddawać się pisaniu dzieł tylko w chwilach wolnych od obowiązkowych, dających utrzymanie zatrudnień.

Działyński wiedząc, że o głodzie nikt pracować nie może, — że ten, który traktuje piśmiennictwo jako rzecz poboczną, nie może tworzyć dzieł dokładnych, starał się zawsze wybranych przez siebie pisarzy zabezpieczyć od troski o chleb codzienny. W latach kiedy mu

jeszcze zdrowie służyło, wyszukiwał ludzi zdolnych i zachęcając ich do pracy naukowo-literackiej stawiał ich w położeniu niezależnem. Umiał to zaś czynić w sposób tak delikatny, iż nigdy nie obraził godności osobistej i nie dał poczuć, iż łaskę sprawia.

Działyński zrobił wiele w tym kierunku, bo zrobił co mógł. Jeżeli zaś pomimo jego starań, wielu zwłaszcza na emigracji pisarzy zdolnych i wykształconych uległo w zapasach z nędzą, nie jego w tem wina, bo przecież wszystkim dopomódz nie był w możności.

Znanych mi jest kilka faktów udzielenia stałej, regularnej pensji mężom nauki, którzy bez zapewnionego utrzymania, nie byliby napisali dzieł, które się stały ozdobą i chwałą polskiego piśmiennictwa. Wspomniałem już w jaki sposób powołał tylu matematyków i przyrodników do polskiej pracy. Należy tu nadmienić, że nie pominął historyków, filologów i publicystów.

O tych jego pomocach nie wiele osób wiedziało, bo Działyński nigdy się nie chwalił z tego, co robił. Przypadkowo od niego samego dowiedziałem się o pensji wypłacanej przez lat kilkanaście pewnemu publicyście, który używa dzisiaj europejskiej sławy. Nazwiska nie wymieniam, jest ono niepotrzebnem. Rzecz się tak miała. Pewien młodzieniec rodem z Litwy, po ukończeniu uniwersytetu niemieckiego przybył do Paryża. Poprzedził go rozgłos broszury napisanej przez niego w języku niemieckim. Zbliżył się do Czartoryskich. Książe Adam z właściwą mu przenikliwością odgadł w nim i ocenił wielkie zdolności i przemyśliwał nad sposobami zużytkowania nadzwyczajnego talentu na rzecz sprawy polskiej. Mógł on na polu obcem pracując zrobić świetną ka-

rjerę, — zwłaszcza że znakomicie władał językiem francuzkim i niemieckim. Ażeby go pozyskać dla Polski, — potrzeba go było widokami pewnych korzyści zobowiązać do pisania po polsku. Hojność Działyńskiego przyszła w pomoc zamiarowi starego księcia, — ofiarował bowiem młodemu, wyrabiającemu się pisarzowi stałą, coroczną pensję 3.000 franków pod warunkiem, iż w czasie nieoznaczonym napisze dzieje literatury polskiej XIX. wieku. Wymaganie to było zwykłą formą delikatności Działyńskiego, i niem osłaniał drażliwość otrzymującego pomoc. Pensja miała więc charakter literackiego honorarjum. Tym sposobem dał Polsce świetnego publicystę, który z niezrównanym artyzmem języka i stylu umie obrobić każdy przedmiot. W *Wiadomościach polskich* były zamieszczone pierwsze jego artykuły. Siła argumentacji, trafne bogatej imaginacji porównania, dowcip, styl wytworny i wspaniały język jego rozpraw, wywarły ogromne wrażenie. Gdy i zasadom oraz dążnościom pisarza nic zarzucić nie można było, płacił mu Działyński przez długie lata oznaczoną pensję, która mu swobodnie pracować pozwalała. Później dopiero gdy w kierunku jego pism zaszła zasadnicza zmiana i powołany do boku ministra potężnego państwa, począł pracować w obcym języku, — przestał Działyński wypłacać pensję, której zresztą już więcej nie potrzebował.

Bez pomocy Działyńskiego nie mógłby i E. Rykaczewski oddawać się swobodnie pracy nad tłómaczeniem dzieł Cicerona.

Był to gruntownie wykształcony pisarz i niestrudzony w pracy, człowiek charakteru wyższego, wielce zasłużony w życiu politycznem i literackiem narodu. W pierwszych latach emigracji przekładał dzieła Lelewela na język

francuzki, — w późnej starości począł tłómaczyć na język polski dzieła sławnego mowcy rzymskiego. Działyński dowiedziawszy się o zamiarze Rykaczewskiego, pośpieszył z dostarczeniem środków przez cały czas, w którym zajęty będzie tłómaczeniem i zarazem z obietnicą wydrukowania swoim kosztem wszystkich dzieł Cycerona. Z podwójną gorliwością wziął się czcigodny starzec do pracy i był już w połowie ostatniego tomu, gdy śmierć niespodziewanie zabrała go z tego świata.

Dokończenie przekładu poruczywszy F. Jerzykowskiemu, profesorowi w Poznaniu, wydał Działyński wszystkie „Dzieła M. T. Cycerona" w ośmiu tomach. „Mowy" jego wyszły w trzech tomach w Poznaniu (1870—71); „Listy" w dwóch tomach (Poznań 1873); „Pisma krasomowcze i polityczne" w jednym tomie (Poznań 1873) i „Pisma filozoficzne M. T. Cycerona" w dwóch tomach (Poznań 1874—79).

Tym sposobem polska literatura pozyskała komplet dzieł cycerońskich, które lubo dawniej wiele razy w różnych epokach przekładano, całkowicie nigdy przełożone nie były. Co do piękności stylu i dobitności języka tłómaczenie to najnowsze równa się oryginałowi.

Z klasyków starożytnych wydał jeszcze Działyński następujące przekłady: „Komedje Plauta" (Aulularia, Mostellario, Trinummus i Capteivei) przekład dra Jana Wolframa, profesora uniwersytetu warszawskiego (Poznań 1872) ozdobione portretem i życiorysem zmarłego tłómacza; „Tragedje Eschylosa" przekład dra Z. Węclewskiego, obecnie profesora uniwersytetu lwowskiego (Poznań 1873) i „Tragedje Sofoklesa" przez tegoż dra Z. Węclewskiego, również umiejętnie przełożone (Poznań 1875).

Z literatury wschodniej dał nam poznać „Gulistan to jest ogród różany“ Sadego z Szyrazu, dobrze z oryginału perskiego przełożony i objaśnieniami zaopatrzony przez W. z Bibersteina Kazimierskiego (Paryż 1876) sławnego we Francji orjentalistę, tłómacza na język francuzki Al-Koranu.

Gdyby żył dłużej, zyskalibyśmy z jego hojności nowe przekłady innych klasycznych pisarzy tak starożytności jak nowszych czasów. Pracowników nam na tem polu nie brak. Jak Rykaczewski przełożył całego Cycerona, Ulrich w Bordeaux całego Szekspira, — tak inni emigranci tłómaczyli innych mistrzów dzieła, że wspomnę tylko Dyonizego Piotrowskiego w Londynie, którego nowy przekład „Jerozolimy wyzwolonej Tassa“ i „Luzjady L. Kamoensa“ pozostaje dotąd w rękopismie.

Bogate a wielkie literatury, do jakich polska należy, posiadają po kilka przekładów jednego arcydzieła. Nie są więc i u nas nowe przekłady zbyteczne a trud posiwiałych w tęsknocie wygnania tłumaczów nie był napróżnym. Kto jednak wydrukuje ich przekłady, kiedy brakło Działyńskiego, który umiał wspierać pożytecznych pracowników i dzieła ich z ukrycia na jaw wydobywać?

Powiedziałem wyżej, że Jan Działyński od r. 1863 był emigrantem, przez rząd pruski zaocznie na śmierć skazanym.

Majątek jego zasekwestrowany przez wszystkie lata emigracji był przez urzędników pruskich administrowany. Ażeby powrócić do kraju i wydobyć majątek ze szponów niemieckich, potrzeba było wprzódy stawić się przed trybunałem w Berlinie i poddać się procesowi. Smutnej tej konieczności uległ Działyński. Zachowanie

się jego i usprawiedliwianie przed sądem, było pełne godności. Taką godność posiada ten tylko, który nigdy nie zdradza swoich przekonań i zasad i zawsze jest wiernym ojczyźnie.

Interes polityczny, który sądził w r. 1864 towarzyszów Działyńskiego już zniknął, — Prusy potężne po zwyciężeniu Austrji i utworzeniu północno-niemieckiego związku, nie potrzebowały zalecać się Moskwie, więc też Działyński miał łatwą przeprawę przed trybunałem. Wyrok na śmierć, wydany zaocznie, samym faktem stawienia się przed trybunałem został uchylony, Działyński zaś po odbytej rozprawie procesowej uwolniony.

Powrócił więc do ojczyzny w r. 1869 i do majątku naprawiać szczerby zadane mu przez administrację pruską.

Majątek kórnicki dwa razy zostawał w administracji pruskiej. Po roku 1831 zasekwestrowali go Tytusowi za udział w powstaniu, ta jednak dawna administracja nie była tyle szkodliwą ile zaprowadzona w r. 1864. W perjodzie czasu rozgraniczającym te dwie administracje, moralność niemiecka bardzo podupadła, a chciwość i łapczywość pruskich urzędników znacznie się wzmogła. Cały dochód z majątku kórnickiego, wynoszący rocznie 60.000 talarów, zjadali, nie czyniąc żadnych zgoła ulepszeń. Ściana głównej sali zamkowej, wychodząca na ogród, pękła, a rysu w murze nie kazali zamurować. Bogatą oranżerję opustoszyli z wielu rzadkich roślin, a kosztowne księgi i zbiory historycznych pamiątek, wilgocią zapuścili. W r. 1870 pokazywał mi sam Działyński ślady niemieckiej gospodarki. Dopiero po kilku latach zdołał ponaprawiać co uszkodzili i przywrócić dawny ład i porządek.

Jan podobnie jak Tytus używał do wykończenia zamku i wszelkich innych robót tylko polskich rzemieślników. Nawet meble, znajdujące się w zamku są roboty polskich stolarzy.

Wielka biblioteka, jedna z najzamożniejszych w stare druki i w dawne rękopisma, była przedmiotem szczególnym jego pieczołowitości. Odebrał ją od ojca bogatą, oddał zaś sukcesorowi swemu Wł. Zamojskiemu, synowi ukochanej siostry, jeszcze bogatszą w księgi, dokumenta i stare pamiątki. Nie żałował pieniędzy na zakupno dzieł i rękopismów. W czasie mojej bytności w Kórniku nadeszły zakupione na Podolu akta i listy jednego z marszałków konfederacji Barskiej, Zaremby. Zbiór pasów słuckich, karabeli, buław, buzdyganów i mnóstwa innych pamiątek, przedstawiony na wystawie powszechnej w Paryżu 1878 r., zadziwiał cudzoziemców świetnością i obfitością. Biblioteka była umieszczoną w zamku i w budynku, wzniesionym w ogrodzie. Mówił mi Jan, iż ma zamiar umieścić całą bibliotekę w zamku, w salach odpowiednio przygotowanych, budynek bowiem w ogrodzie nie jest wolny od wilgoci.

Po sprzedaniu dawnego budynku szkoły Polskiej w Paryżu na bulwarach batiniolskich i zakupieniu nowego, mniejszego przy ulicy Lamandé, dr. Seweryn Gałęzowski znalazł się w kłopocie pomieszczenia szkolnej biblioteki. Piękna to zaś była biblioteka, bo liczyła przeszło 20.000 tomów, a w ich liczbie podręczną książnicę Lelewela. Jan Działyński przemyśliwającemu nad pomieszczeniem biblioteki batiniolskiej, Gałęzowskiemu, ofiarował Kórnik na jej przechowanie. Została więc z Paryża przeniesioną na gościnę do Kórnika. Ponieważ zaś nie mogła być połączoną ze zbiorami Działyńskich, którym tylko straż nad nią oddał dr. S.

Gałęzowski, więc Jan wzniósł dla niej osobny budynek w Kórniku, przerobiwszy odpowiednio dawny spichlerz.

Po powrocie do kraju, zamierzał Działyński wziąć równie czynny udział w sprawach publicznych jak na emigracji. Nie umiano atoli ocenić ani jego dobrej woli, ani zdolności. Gdy bez jego wiedzy postawiono go w wyborach jako kandydata do sejmu berlińskiego, — partja wtedy dominująca w Poznańskiem oświadczyła się przeciw niemu. W oczach reakcji był grzechem jego osobisty udział w powstaniu 1863, jego poświęcenie i ofiary, jakie niósł dla walczącego narodu. Tolerancja zaś jego pomimo niezaprzeczonej wierności dla kościoła, wydała się ultramontanom podejrzaną.

Jakkolwiek Działyński nie żalił się nigdy na tak obojętne przyjęcie i nieprzyjaźne mu wystąpienie, stało się ono przecież powodem, iż chętnie wracał pomiędzy emigrację, która go szanowała, jego uczucia odczuwała, jego myśli rozumiała a działanie popierała.

Odtąd czas swój spędzał na przemiany w kraju i w Paryżu.

Letnie miesiące zwykle bawił w Kórniku lub w Gołuchowie, majątku małżonki swojej Izabeli z książąt Czartoryskich hr. Działyńskiej, w którym ta pani, dawny zamek, mieszkanie niegdyś króla Stanisława Leszczyńskiego, wspaniale odbudowała i w nim nagromadziła wiele cennych pamiątek i dzieł sztuki.

Za złe brano Działyńskiemu coroczne powracanie do Paryża.

I my znaleźlibyśmy dla niego słowo nagany, gdyby pobyt jego w stolicy Francji nie był usprawiedliwiony ważnemi dla sprawy narodowej czynnościami.

Nie dla zabawy on tam jeździł, — nie trwonił tam, jak wielu panów polskich, pieniędzy na bale, uczty i przyjęcia huczne. Skromny w wydatkach na osobiste potrzeby, — szczęście znajdował w dobrem czynieniu. Nie słyszałem ani o jednej kosztownej zabawie przez niego urządzonej. Oszczędność w życiu prywatnem pozwoliła mu być hojnym dla potrzeb publicznych. Majątek odziedziczony po przodkach uważał za skarb narodowy, — którym najlepiej, bo z pożytkiem narodu administrował. Nie można więc robić mu zarzutu z przebywania w Paryżu, bo nie bawił się w nim, lecz pracował dla Polski, podobnie jak pracował w kraju, w letnich miesiącach, krzątając się na szczupłej arenie okolicy, zamieszkiwanej przez siebie.

Popierał sprawy okolicznych włościan i towarzystw pożyczkowych, dbał o szkoły wiejskie i o wszystko, co narodowość podtrzymywało i rozwijało. Był też członkiem towarzystw obszerniejszych w Poznańskiem i od żadnej publicznej czynności Polaków w zaborze pruskim nie usuwał się, żadna też nie obeszła się bez jego ofiary. Gdy projekt Banku włościańskiego w Poznaniu, pochylił się do upadku dla braku kapitału zakładowego, udziałem wpłaconych 80.000 talarów sprawił, iż Bank przyszedł do skutku i rozwija swoje pożyteczne działanie taniego i łatwego kredytu. Jeszcze w r. 1879 prezydował na walnem zgromadzeniu akcjonarjuszów tej instytucji w Poznaniu.

Jeżeli zaś w ostatnich latach dziesięciu energia jego w działaniu publicznem osłabła i często się odosabniał, przyczyną był stan jego zdrowia wielce osłabiony.

Po procesie berlińskim, przybywszy do Kórnika, został tknięty paraliżem. Już wtedy życie

jego było zagrożonem. W kilka lat potem, powtórny atak paraliżu nadwątlił mocno, poprzednią chorobą zdezorganizowane ciało. Jeszcze i tym razem lekarze mu życie zachowali, ale było to już życie złamane. Wpadał odtąd często w zadumę i oddawał się samotności, potrzebując spokoju. Wszelki trud go męczył, pochopność do inicjatywy ustąpiła a z nią i chęć do rozprawiania i walki, jaką prowadzić zwykło za sobą życie publiczne. Tylko ulubiona mu praca naukowa i zajęcia wydawnicze ożywiały go i wtedy zdawało się, że dawna energia powróciła. Ile też razy znalazł się w kole ludzi, którzy jednakowo z nim czuli i myśleli, duch jego nabierał polotu, zimna powierzchowność zdobiła się rumieńcem zapału.

Tak, chory i wątły, zwalczając trapiącą go chorobę, — do końca życia pracował w raz obranym kierunku, coraz to nowemi czynami zapisując piękną kartę swojego żywota.

Wysokiego wzrostu, cokolwiek pochylony, miał w całej swej postawie wiele godności. Ze wszystkich jego portretów najlepszym jest ten, który Leon Kapliński malował. Przedstawił go w kołpaku i wspaniałej delii, — i pochwycił w w wyrazie oblicza ten dumny smutek, którego piętno wycisnęła na niem niedola ojczyzny.

Ile razy patrzyłem na Działyńskiego Jana, zdawało się mi, że czytam w jego głębokiem i łagodnem spojrzeniu cierpienia i niepokój Polski. Był on uosobioną tęsknotą i boleścią ojczyzny. Trudno sobie wyobrazić smętniejszą postać. Ta postać ostatniego z rodu, wyobrażała swoją indywidualnością dzieje tegoż rodu. Senatorska wspaniałość łączyła się w niej z pokorą pokutnika.

W długim szeregu jego przodków byli mężowie wielcy w publicznej radzie i na polu

orężnem, w rządzie i w kościele, — lecz rzeczywista zasługa najwyżej wystrzeliła w ostatnim ojcu i synie. Gdy tamci służyli Polsce w dobie jej świetnej niepodległości, — ostatnim przypadła służba w dniach ponurego ujarzmienia. Nie ugięli się obaj przed panami niewoli i obaj okryli się wielkim trudem oswobadzania. Do wielkiej zasługi ojca dołączył syn czystość niepokalanego życia prywatnego. Doskonała moralność zajaśniała w nim najokazalej i zagasła jak ostatni promień zachodzącego słońca.

Piękniejsza zaiste postać nie mogła stanąć na końcu rodu wielkich mężów i cnotliwych niewiast. Klaudja Potocka z tegoż rodu i Jan Działyński opromieniali go blaskiem najwyższych cnót chrześcijańskich i polskich!

Tradycja tych cnót przechodzi na potomstwo sióstr Jana, również jak on rozmiłowanych w Bogu i w Polsce!

Zamek w Raperswylu.
11. maja 1880.